№ 14. Warszawa, dnia 4 Kwietnia (23 Marca) 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.



Przyleciały.

FRAGMENT.

Prawda, jaka to radosna chwila, gdy w ciepły poranek kwietniowy ponad wodą migną po raz pierwszy czarne skrzydełka ptaszyny, trącą ją, dotkną zlekka, zamącą na chwilę, i uniosą się w górę ruchem chyżym, błyskawicznym, i znowu zatrzepocą nad wodnem zwierciadłem, musną je piórkami niby witając i pomkną kapryśnie gdzieś w bok, ponad zieleniejące pola, ku znanym dobrze strzechom.

Z jakiem uniesieniem radosnem wołają wtedy dzieci: „Jaskółki przyleciały! Wiosna, wiosna już! Przyleciały jaskółki."

A jednak powiem wam szczerze: nie lubię tej chwili, nie lubię powrotu jaskółek. Mam z dni dzieciństwa jedno wspomnienie jesienne, które wstaje wtedy, i cieniem smutku powleka mi jasną szatę wiosny.

Dzień był słoneczny, widny, ale chłodny. W cieniu, na pożółkłych trawach, na liściach opadłych bielił się szron. Do południa obróconą stronę słomianej strzechy obsiadły jaskółki i świergotały a gwarzyły niby ludzie, gdy wyruszają w drogę daleką.

I one od rana wybierały się w podróż powietrzną, gotowały do odlotu. Niecierpliwsze zrywały się raz po raz, przez chwilę czarnemi skrzydełkami biły powietrze, i wracały, i przysiadały znowu na dachu słomianym, jakby im żal było tych strzech, tych gniazd, jakby się z niemi dosyć nażegnać nie mogły.

Naraz, niby na hasło jakieś zerwały się wszystkie razem, w powietrzu zaszumiało, nad żółtą strzechą zawisła niby chmurka czarna, która wzbijała się coraz wyżej, coraz bardziej malała, potem zwróciła się w stronę południową, poszła na słońce złote, i gdzieś w powietrza przestworach zniknęła mi z oczu.

Długo stałam, i patrzyłam za niemi zadumana. Zdawało mi się, że wrócą jeszcze, że powrócić muszą. Nie wróciły. Smutna spuściłam wzrok, i ujrzałam, że o kilka kroków odemnie śród liści i traw trzepoce się coś czarnego. Podeszłam bliżej, to była jaskółka, mała jaskółeczka, pisklę najmłodsze, ostatnie. Jej małe skrzydełka unieść jej nie mogły. Napróżno wraz z innemi zrywała się do lotu. Zabrakło jej sił.

I teraz jeszcze wzlatywała w górę, i znowu opadała na ziemię. Daremne wysiłki. Trud daremny.

Obejrzałam się dokoła, wszędzie cicho, pusto, ani jedna czarna ptaszyna nie szczebiotała, nie kręciła się dokoła mieszkań ludzkich. Wszystkie odleciały, odleciały w kraje słońca, a ją zostawiły samą, na wichry, na mrozy.

Wzięłam w rękę ptaszę, i czułam jak pód temi czarnemi piórkami biło gwałtownie jego małe serduszko. Co to stworzonko czuło w tej chwili? Alboż ja wiem! Ja mu szeptałam, że przyjdzie wiosna, że tamte ptaki powrócą, ale jaskółka patrzyła na mnie swojemi czarnemi oczkami tak smutnie, jakgdyby lepiej odemnie rozumiała przeznaczenie swoje. Nigdy nie zapomnę tego wzroku. Tyle w nim było nieświadomego siebie bólu.

Zabrałam ją do mieszkania, całowałam postrzępione piórka, chuchałam, pieściłam, ale ptaszyna pozostała smutna jak przedtem, nie przyjmowała pokarmu, który jej dostarczałam, a następnego dnia przez otwarte okno uszła niepostrzeżona.

Zimny deszcz jesienny bił o szyby, wicher świstał jakąś dziką melodyą. Nie mogłam usnąć tego wieczora, myślałam o mojej małej jaskółeczce opuszczonej.

Czułam, że jej tam zimno i smutno, strasznie smutno być musi. Znalazłam ją nazajutrz pod wielką topolą, z rozpostartemi skrzydełkami martwą. W ostatniej chwili widać zrywała się jeszcze do lotu, chciała lecieć za tamtemi w kraj słońca.

Odtąd nie mogę cieszyć się, gdy widzę powracające na wiosnę jaskółki. Ona powrotu ich nie doczekała.

H. C.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Nie wiedziała prawdziwie co powiedzieć, tem mniej czego chce. Nie uczynił nic, coby ją obrazić mogło. Wzbudzić w nim zajęcie, przecież pragnęła. Coś ją wszakże płoszyło, zatrważało w tej chwili, jak gdyby zlękła się tak szybkiego i gwałtownego urzeczywistnienia swej chęci.

Pietro w lot przeniknął, że gra w niej jakaś drażliwość. Jeno za mało ją znał, by wiedzieć że nie wypływało to z cnoty, ani nawet z czystości myśli; lecz jedynie z delikatności ustroju, z tej drażliwości ślimaczka, który wyhodowawszy się w ochronnym domku, wyciąga różki ciekawie na świat, lecz wnet je chowa, nie chcąc doświad-

czyć ani chłodu, ani rosy, a zwłaszcza urażenia o ostry kolec... Pietro zatem jej nieśmiałość i zawahanie poczytał właśnie za owoc nieskazitelnej dziewiczości duszy, i miłość jego przeszła się w cześć i zachwyt bez miary. Ogień, który zakipiał w nim wrzątkiem, rozpłynął się po ciele łagodnem i obezwładniającem, choć rozkosznem ciepłem.

Stał, patrzył, a brwi jego zbiegały się marsem, muskuły drgały w twarzy, w końcu zbliżył się do niej ze spokojem człowieka, który cierpi, lecz upojenie w tem znajduje.

— To nic... to nic — powtórzył bezdźwięcznie tym razem i dla zatarcia własnego wzruszenia.— To nic!... Nie będzie już nigdy żadnego „ale," chciej wierzyć, wierzyć temu... i nie obawiaj się „aniele!" — dokończył z trudnością, zdławionym głosem, i rękę jej w dłonie wziął, do piersi przycisnął długo, jak na pożegnanie.

Ada spoglądała równie zalękniona jak zdumiona. Nie była w stanie jasno go zrozumieć. Odczuła tylko, że coś się dzieje z tym człowiekiem niezwykłego, i że istotnie powinna odejść.

Nie mówiąc też ani słowa, powolnym ruchem zawróciła się ku drzwiom, w pobliżu których wciąż stali. Na progu jeszcze raz skinęła mu głową.

A gdy w minut kilka w ogrodowej ulicy spojrzała za siebie, poprzez delikatne gałązki krzewów zobaczyła go na miejscu przy drzwiach, gdzie się rozstali.

VI.

— „To nic," — „to nic"—powtarzała Ada powracając z pracowni, równie jak i dni następnych, gdy o bytności u Pietra Vico myślała.

Wzruszenie jego i zachowanie się na wrażliwości jej odcisnęło wszakże pewne ślady. Odrazu jednak poczuła, że wszystko między nią a tym człowiekiem zredukuje się dla niej jedynie do szeregu „obrazów."

Nieraz już poznawała, że w sprawach osobistych wcale nie bywa aktorem, lecz tylko widzem, mniej lub więcej zaciekawionym, czasem nawet porwanym przez zapał sztuczny, czy chwilowy. Ale nigdy nie była tego tak świadomą jak w tym wypadku. Zarazem jednak odczuwała szczerość i artystyczny ton uniesień Pietra; ze względu na jego stanowisko oceniała przytem niepowszedniość sytuacyi, i nie traciła ochoty, by ją podtrzymać. Nie znajdując wszakże bezpośredniego bodźca w tej sprawie, gdyż w dodatku była pewną swego, nie gorączkowała się i rolę „gwiazdy wskrzesicielki" odkładała na później.

Przyczyniały się do tego i same okoliczności, ten wir codzienny, który nią ogarniał, obracał, przerzucał, jak prawdziwy wir fal, drzazgę lekką, zupełnie nie pozwalając jej być panią swego czasu.

Janusz także był w obrotach wielkich. Ruch w fabryce z wiosenną porą zrobił się szalony, interesów nawał; pan Roger zaś wybierał się za granicę i wszystko zdawał na głowę przyszłego zięcia. Nowy dział w przedsiębierstwie wprowadzić zamierzali, co sprowadzało konieczność porozumiewania się z różnymi ludźmi i firmami. Oroński przytem spełniał obowiązki czysto honorowe, które podjął przez zamiłowanie do nauki i chęć służenia ogółowi. Należał mianowicie do sekcyi chemicznej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu; sporządzał wraz z innymi analizy ziemi i różnych produktów; czego potrzebowano ciągle dla wprowadzania ulepszeń w rolnictwie i przemyśle krajowym. A że wystawa rolnicza się przygotowywała, miał więc i tu zajęcia zdwojone.

Przyjeżdżał najmniej raz w tydzień do Warszawy i zawsze zaglądał na Erywańską. Lecz widzenia te, jakkolwiek obojgu wydawały się tak nieodzownemi, jak gdyby istnieć nie mogły, bywały jednakże krótkie i najczęściej w obecności pani Męckiej wypadały, w porze obiadowej lub wieczornej. Więc na rozprawy czasu nie starczyło. Raz tylko przeszli razem do ogrodu Botanicznego w epoce kwitnienia bzów; ale i wówczas oddawali się jedynie wrażeniom czarownego otoczenia przyrody, która w mniemaniu ich była wyjątkowo hojną i zachwycającą tego roku.

Wogóle w stosunku między nimi od owej przejażdżki o majowym brzasku, trwała stale braterska serdeczność i harmonia, owiana jakimś urokiem niedopowiadanej tkliwości z jego strony, a przygłuszonej śmiałości w jej obejściu. Zdawało się, że ciągle zostają pod czarem słodkiej woni drzew, miękkich powiewów i stłumionych blasków, i, że nie chcą wcale trzeźwieć z odurzenia, bądź z obawy, by go nie stracić, bądź przez brak świadomości, że są w jego mocy.

Najgłówniejszy, niepokojący temat z rozmów usunęli, to jest nigdy nie czynili wzmianki o Maryi Roger, i małżeńskich względem niej zamiarach, lubo Janusz o całej rodzinie narzeczonej nieraz wspominał, jak również o swych rozmaitych projektach i zajęciach.

Stosunkowo Ada więcej wtajemniczała go w swe życie, powodowana brawującą szczerością niemniej jak próżnością i potrzebą dzielenia wrażeń. Każdą sprawę ukazywała wszakże w świetle, jakie jej podobało się nadawać, nie szczędząc malowniczych omówień, lub interesujących zatajeń, które mogły Orońskiego drażnić, choćby dlatego, iż „zaraza uroku," jak inne epidemie, działa „zaraźliwie", co częstokroć stanowi o powodzeniu „modnych piękności" i „wielkości."

Dość, że Janusz trwał w głębokiem przekonaniu, iż opiekę tem bardziej dawać jej należy jako potrzebną.

W owej stałej wszakże pogodzie, cechującej na pozór ich stosunki, przebijała jakaś niepewność, jak gdyby zwykłem prawem w naturze choć za krańcami widnokręgu musiały się gromadzić chmurki, zrazu dla oczu niedościgłe.

I prawdziwie Ada nie zażywała w duszy pełnego spokoju. Najpierw bowiem nie mogła dobrze wymiarkować jakie wstrząśnienia stosunek z Januszem jej gotuje, lubo następstw poważnych zgoła nie brała w rachubę; dalej, rozgniewała się, a zaciekawiła listem siostry, która wykazując jałowość jej życia, zachęcała gorąco do małżeństwa i chciała ją swatać, ona zaś mimo głośnych wzdragań, propozycyi tego rodzaju nie puszczała koło uszu obojętnie, każdą przymierzając do siebie, jak człowiek, który sam nie wie dokąd płynie.

Prócz tego chwilami niecierpliwił ją Hubicz tem, że ugrzązł w Warszawie wbrew jej woli i nie chciał zrozumieć, że ją nudzi.

Czasem zaś nie mogła się wykręcić od przyjęcia go u siebie.

Zwykle przychodził wówczas, gdy potrzebował szczerej rozmowy z istotą niejako pokrewną duchem i zdolną go pojąć, gdy poprostu myśl miał zgorączkowaną, lub serce wezbrane. Jako członek innego, choć pokrewnego społeczeństwa, przeszczepiony w nowe dla siebie warunki, nieraz odczuwał ich zacieśnienie, równie jak obojętność ludzi, wśród których się obracał.

Ale do Ady najczęściej też nie w porę się odwoływał.

I tak raz, gdy właśnie bardzo pragnął poufnych wynurzeń, ona była w usposobieniu tak nieprzystępnem, że podlatywał ją nawet pewien „przekorek," przez który była gotowa przegrać swą „wyższość," wraz z jej wyznawcą.

Hubicz przyniósł najświeższe swoje poetyckie utwory, by je odczytać. A ona tymczasem bez ceremonii porządkowała wzorki malarskie i farby, ledwo z łaski bąkając przez ramię po słówku. Gdy zaś w końcu siadła na otomance i do ręki wzięła zeszyt, poczęła jeno karty przerzucać, jakby nie treść, lecz formę wierszy i objętość wymiarkowując.

Ale Maryan nie postrzegał jej złego humoru. Chodził po pokoju, włosy ręką przegarniał, delikatny zarost gładził, i to poruszał najrozmaitsze kwestye społeczne, powodowany chęcią wygadania się, to wpadał w zadumę. Przystawał, spoglądał na tę „wyrocznię" swą z rozrzewnieniem tkliwego, a losem nękanego serca, jakby mówiąc w duchu: „oto jest moja ucieczka i nadzieja, co mi świat?" Wreszcie oczekiwał, by go do czytania zachęciła.

Ona tymczasem naraz rzekła:

— Zostawi mi pan tę pracę, czy nie? Choć doprawdy nie zaręczam, czy przejrzeć ją zdołam, bo tak jestem przeciążona!... Zresztą, wie pan, że ja straciłam upodobanie do poezyi. Co wy wszyscy dzisiejsi poeci piszecie?! Jakieś okrawki, bawidełka, tandetne wierszydła... Ja pojmuję poezyą jako ogrom, potęgę, sztukę w dziełach porywającą siłą i podniosłością. O, niech który z was będzie Mickiewiczem, Słowackim, Krasińskim, no ten dla mnie za mistyczny, ale czuję, że wielki, to rozumiem. Ale wszystkich wytworków nowoczesnych tak okropnie powszednich nie dotykam, i, nawet wolę, niech pan sobie to zabierze.

Maryan doświadczył uczuć człowieka, którego powalą na ziemię, a tak, iż krew do głowy mu spłynie i oczy chce na wierzch wysadzić.

Sponiewierała go, razem z braćmi, lecz w imię wyższości pojęć o sztuce; którą uprawiał. Musiał pewną słuszność przyznawać jej zarzutom; czuł się więc zawstydzonym i zgnębionym.

Należał on wszakże do ludzi przez walkę życiową nauczonych, opanowywania samego siebie, a warunkowo i położenia; choć mimo to nieraz wyzyskiwanym bywał i zwyciężonym przez przeciwników bezwzględnych, pewniejszych siebie i twardszego serca.

Po chwili zebrał myśl i odwagę.

— Jest pani bardzo surową w sądzie — zaczął ze wzruszeniem, które chciał ukryć. — Bo widzi pani, za siłę natchnienia nikt nie odpowiada, jest to moc wrodzona, nieujęta jak geniusz, lubo łączna z tysiącem wpływów i warunków, jak blask słońca, raz świetniejszy, raz bledszy, lub całkiem zaćmiony. Każdy chciałby wielkim być, lecz nie każdemu i nie zawsze to dano.

— Oto: uczciwość zamiarów i chęci, w tem to jest odpowiedzialność człowieka—podjął po chwili nieco śmielej, odzyskując grunt pod nogami. — Dla mnie, dla mojej duszy, mojego serca, poezya potrzebna jak muzyka dla kompozytora. Przy-

tem sądzę, że niejeden znajdzie w mych piersiach wyraz dla swoich uczuć, myśli, pragnień i rozterek, a niejeden coś, co go do zastanowienia i czucia pobudzi, i to mi wystarcza jako poczucie.

Tu zaś zwrócił się wprost do Ady i dodał:

— A jako człowiek, naznaczam sobie inne zadania i cele, pani wie, i przynajmniej w tem pani mnie rozumie.

Gdyby Hubicz był zabrał papiery i wyszedł, byłby najwięcej zyskał w oczach panny Smieńskiej, może nawet jej się podobał w tej chwili. W tem, że tego nie uczynił, równie jak w całej obronie widziała „ślamazarstwo," a w ostatnim zwrocie „czepianie się" jej, które ją w zasadzie gniewało. To też słuchając go, ściągała brwi niecierpliwie i uśmiechała się z ironią. Nie rzuciła wszelako rękopisu ze słowy: „dajże mi pan święty spokój," albowiem całkowite środki, równie jak pełne uczucia nie leżały w jej postępowaniu i charakterze.

— Ano, skoro w ten sposób pan rzeczy pojmuje, to oczywiście wolno panu pisać, jak mnie grać i malować — rzekła tylko, pewnem politowaniem zdjęta.

Poczem skierowała znów rozmowę na sprawy poważne, niby społeczne, raz dlatego, że nie chciała udawać zainteresowania poezyą, dla której istotnie ostygła, powtóre, że tak zupełnie rozczarowywać go do siebie jeszcze nie widziała potrzeby.

Maryan zaś nauczony wiele znosić i przebaczać, skłonny też własnymi przymiotami zdobić innych, patrzył w nią napowrót z pobłażliwą słodyczą i tkliwością, przyczem z coraz większem przejęciem roztaczać poczynał przed nią zakres działalności przystępnej dla kobiet, a pożytecznej dla ogółu.

— Panie tyle zrobić możecie, tylko starajcie się rzetelnie obeznawać z położeniem i potrzebami, i przyczyniać się istotnie do powszechnego dobra — mówił. — Niech pani daje impuls, bo przodownictwo zawsze do gwiazd należy... A nie szukajcie panie daleko, nie wytwarzajcie sztucznych dróg, idźcie najprostszemi, zaspakajajcie zasadnicze potrzeby, rozwijajcie pierwsze pojęcia; starajcie się uczyć pracy, oświecać, dźwigać moralnie i fizycznie, a pożytek i dobro samo z siebie przyjdzie.

Był to człowiek, którego niepospolitość i podniosłość duszy objawiała się w istocie nietyle w poetyckich natchnieniach, ile w szlachetnych uczuciach i dążnościach. Znał dotykalnie nędzę, krzywdę, niesprawiedliwość, widział wyzysk, nikczemność i wszelki najniższy upadek człowieka— wszystko rozumiał, lecz na wszystko mówił: choroby duszy i ciała, a zbrodnie złego ustroju społeczeństw, trujące owoce bezprawi i nadużyć — gangrena, którą można wyleczyć, ciemnota, którą można usunąć — słabość, którą można podźwignąć. I nietylko wołał z Goethem „światła. więcej światła!" — wołał: braterstwa, miłości pośród narodów i jednostek; swobody — człowieczeństwa — szczęścia dla każdego. Sam zaś miał taką duszę prostą i wolną od wszelkiej próżności, a serce tak prawdziwie dobre i ofiarne, iż wydziwić się nie mógł, że ludzkość zawsze w swem łonie znajdowała tyranów i rodziców wszelkiego rodzaju, i z własnych złych instynktów wytwarzała barykady nie pozwalające urzeczywistnić istoty jej dobra i szczęścia. Z dwu kęsów chleba gotów zawsze jeden od ust odjąć i dać głodnemu, nie pojmował, że ogólnie wzięte zwierzę-człowiek, woli w łapie zgnieść, w ziemi zadusić, czego samo pożreć nie zdoła. Jak również nie pojmował, że ci, którzy mają moc wyświadczania dobra dziesiątkom i tysiącom pokrzywdzonych, nie czynią tego już nie z obowiązku, lecz poprostu dla samej rozkoszy osobistości i z samego zrozumienia doniosłości podobnych faktów. Wierzył jednak, że kula ziemska nie będzie miała kiedyś ani jednego nędzarza, ani przestępcy, tem mniej dusz cierpiących i zaprzedanych, a długi pochód dziejów zakończy się powszechną szczęśliwością. Czemu ten pochód błądził w ciemnościach przez wieki i tyloma krwawemi ofiarami zaścielał drogi, to tłómaczył i socyalnie i metafizycznie. Uważał zaś, że skoro jest, jak jest, to dopóki wielkie idee nie przenikną wszystkich warstw i nie zapalą wszystkich głów, dopóty choć maluczcy i słabi winni torować drogi, i jak robaczki podziemne toczyć szlaki, które kiedyś światłość szeroko rozbije, gdy spłynie. Dlatego chciał każde serce natchnąć zapałem, każdą głowę rozbudzić myślą, każde ręce zająć pracą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ODCZYTY.

(Dokończenie.)

A. Kraushar: Krytyka literacka i zarys jej rozwoju w literaturze polskiej.

U nas podobnie jak we Francyi, początki krytyki literackiej odnieść należy do epoki rozkwitającego humanizmu. Najwcześniejszymi przedstawicielami tego kierunku są u nas Konrad Celtes, Filip Buonacorsi i Grzegorz z Sanoka. W pierwszej fazie tego wielkiego ruchu umysłów, który rozpocząwszy się w w. XV, dosięgnął połowy XVII stulecia, rozbiorowi krytycznemu poddawano rozumie się tylko dzieła pisarzy starożytnych. Pierwszy Braun dopiero zajął się autorami współczesnymi sobie, on to w dziele p. t. „de scriptore Poloniae" pomiędzy pisarzami złotego wieku pierwsze miejsce przyznał Kochanowskiemu.

W następującym okresie dziejów przy ogólnym upadku literatury zchodzi i krytyka na stanowisko podrzędniejsze; ogranicza się do bibliograficznych zapisek (Starowolski), lub poprzestaje na samych jedynie pochwałach, pilnie strzegąc się nagany (Załuski). Dopiero w roku 1779 zaznaczyć można obudzenie się myśli krytycznej. W roku tym wyszła jednoaktowa komedyjka p. t. „Kawa" W dodatku zaś do tej książeczki znajdujemy dwie rozprawki estetyczno krytyczne. Autorem pierwszej p. t. „O geniuszu" był Mniszech. Druga wyszła z pod pióra Józefa Szymanowskiego, i nosiła tytuł „O smaku." W obydwóch znajdujemy myśli bardzo trafne, które i dziś mógłby wziąść pod uwagę niejeden z zapalczywych przeciwników nowych kierunków literackich.

W tej samej książce znajduje się wzmianka o projektowanem towarzystwie krytyków, na którego czele stanąć miał Piramowicz.

Jakoż zawiązało się takie towarzystwo krytyczne w roku 1789. Weszli doń Dmochowski, Śniadecki, Kopczyński i inni.

Szczególnie jałowym pod względem twórczości literackiej był u nas schyłek XVIII i początek XIX w. Na palcach prawie policzyć można utwory drukowane w pierwszem piętnastoleciu bieżącego wieku. Dopiero z gwałtownością burzy wiosennej, nadchodzący z zachodu romantyzm pobudził do życia i twórczości bezpłodną niwę naszej literatury. Za główną znamienną cechę tego kierunku uważa pan K. dążność do oddziaływania na massy, dążność ta właściwą była wszystkim poetom romantycznym bez względu na to, do jakiego stronnictwa lub obozu należeli. Z podręczników literatury znaną jest wszystkim historya zaciętej walki między klassykami i romantykami, w epoce, gdy na widownię wystąpił już Mickiewicz. Walka ta jednakże rozpoczęła się w istocie na kilka lat przed ukazaniem się pierwszych prac Mickiewicza. Pragnący śledzić ruch ten od samego początku, znajdą ciekawe o nim szczegóły w pracy Adama Bełcikowskiego p. t. „Romantyzm przed Mickiewiczem."

Jakoż w istniejącem około roku 1820 w Warszawie „towarzystwie krytycznem X-ów" reprezentowane już były obydwa kierunki. Liczniejszą bez wątpienia była grupa tych, którzy wierzyli, że niezachwiane niczem prawidła twórczości podał był „dla Francuzów Boileau, dla Polaków Dmochowski, dla wszystkich zaś ucywilizowanych narodów Horacy," niemniej i romantyzm miał swoich przedstawicieli i obrońców. Jednym z najgorętszych był Franciszek Morawski wielbiciel Szyllera i Byrona.

Rozprawa Brodzińskiego „O klasyczności i romantyzmie" polemiczne pismo Mickiewicza „O krytykach i recenzentach warszawskich," dowiodły publiczności, że nie chcący uznać żadnych współzawodników klasycyzm zchodzi do grobu. Kiedy ukazała się z zapałem i talentem napisana książka Maurycego Mochnackiego „O literaturze polskiej XIX w.," klasycyzm był już faktycznie pochowany. Okres następny jest okresem bujnego rozkwitu literatury i krytyki.

Na polu krytyki wyróżniają się nazwiska Michała Grabowskiego, Aleksandra Tyszyńskiego, Michała Wiszniewskiego i wielu innych. Mickiewicz wykładami swymi na katedrze literatur słowiańskich w Paryżu zapoznaje zachód z piśmiennictwem słowiańskiem.

Edward Dembowski wprowadza do krytyki literackiej żywioł polityczny, Jan Majorkiewicz heglista, daje wszystkim swym pracom podkład filozoficzny. Julian Bartoszewicz nie waha się zjadliwych swych uwag o pisarzach współczesnych przekazać potomności w formie wydawnictw książkowych. Obok nich na polu krytyki pracują Maciejowski, Wójcicki, Kraszewski, Nehring, Mecherzyński, estetycy Libelt i Klaczko i t. d. Do późniejszych nieco liczą się Przyborowski, Siemiński, Małecki, Kaszewski, Lewestam.

Z krytyków ostatniego pokolenia wyróżnili się: Spasowicz, Tarnowski i Chmielowski.

Długą tę listę nazwisk uzupełnił p. K. wymienieniem imion najmłodszych krytyków i recenzentów, których nie powtarzamy tu za nim, uważając, że wielu z nich zaszczyt ten spotkał przedwcześnie.

Olbrzymi a mało uprawiany dział piśmiennictwa obrawszy za przedmiot prelekcyi, nie mógł p. K. w dwóch pogawędkach wywiązać się z zadania w sposób zadawalniający inteligentniejszych słuchaczy. Publiczność nasza zbyt dobrze obeznaną jest z dziejami piśmiennictwa polskiego, by prosty zaledwie gdzieniegdzie uwagą jakąś

ożywiony spis nazwisk, doskonale ogółowi z podręczników literatury znanych, mógł się dla niej okazać wystarczającym, zwłaszcza gdy żaden pogląd głębszy i ogólniejszy wartości wykładu nie podnosi.

H. C.

Coś niby fatalność.

OPOWIADANIE Z RZECZYWISTOŚCI.

(Dokończenie.)

Ranki były zazwyczaj jaśniejsze, ale za to osłabienie a nawet bezwładność w tych dopiero godzinach uwydatniały się w całej swojej grozie. Umysł funkcyonował powolniej, ale sąd zdrowy pomimo illuzyj i złudzeń dotyczących szybkiego powrotu do sił, zachowywał chory dla reszty spraw stojących po za tem zdrowiem i po za sferą namiętnych pragnień, które to zdrowie rozstroiły.

Z niepokojem wielkim jednak dostrzegała Józia już teraz, że chory zaczyna powoli wychodzić ze swego optymizmu, i z tej ufności ślepej, i że trudno go będzie kołysać złudzeniami aż do ostatniej godziny. A ona tak pragnęła, aby odszedł biedak w pokoju, tak lękała się dla niego goryczy rozstania; nie wiedziała czy się potrafi pogodzić z tą myślą, z którą tak niewielu tylko ludzi godzić się umie. Od czasu kiedy nastała ta zmiana w stanie duszy chorego, zauważyła Józia, że staje się on coraz małomówniejszym, zamyślonym jak gdyby coś ważył, czy postanawiał.

Na brzask dzienny zbierało się pewnego poranku, kiedy młoda dziewczyna podająca jakieś lekarstwo choremu przeciw paroksyzmowi kaszlu, przychodzącego zazwyczaj w tej porze, zobaczyła, że się w nią mimo cierpień uważniej niż zwykle wpatrywał, że opadłszy na poduszki utkwił w niej spojrzenie smutne a nawet łzy, która mu się stoczyła po twarzy otrzeć się nie starał.

— Męczy mnie i ciebie ten przymus. Wszak prawda?

Józia próbowała jeszcze utrzymać się w swojej roli.

— Daj pokój, ja widzę twój heroizm, podziwiam go i nie umiem wypowiedzieć ci wdzięczności mojej, ale skończmy już... a nawet — dodał po chwili, — nie godzi się rozstawać w ten sposób nam obojgu.

Biedaczka powetowała sobie tak długo powściągany żal i wzruszenie głośnym wybuchem płaczu.

Edward zostawił ją czas jakiś w spokoju, ale znać było po nim, że cierpi, że jego to wzrusza także niezmiernie, i wystarczyło Józi jednego rzutu oka na stan chorego, aby się przekonała, że zapanowanie nad boleścią własną było w tej chwili koniecznością.

— Słuchaj moja ty opiekunko niezmordowana — zaczął mówić głosem cichym i zmęczonym bardzo,—mnie trudno przychodzi zebrać teraz myśli, trudniej jeszcze wypowiedzieć je, a złe widzę postępuje szybko—posłuchaj mnie, nie przerywaj, nie staraj się zmienić mego postanowienia, bo to będzie już ostatnia rzecz o którą cię prosić będę, i jeśli ją wykonasz bez oporu a sumiennie, zrobisz mi rozstanie łatwiejszem. Uważaj mnie, sama myśl, że mogłabyś stanąć wpoprzek mojej woli, przyprawia mnie o taki rozstrój, że to krótkie nawet życie gotówbym skrócić jeszcze. Przyrzekasz?

— Przyrzekam.

— To dobrze. Słuchaj tedy. Jak tylko zjawią się tutaj rodzice twoi, poprosisz do mnie ojca, ale samego ojca tylko. Ja muszę zrobić rozporządzenie. Przypomnij sobie mękę życia mojego ojca, patrz jak nędznie schodzę ze świata ja, i pomyśl czem jest w dzisiejszej społeczności człowiek dobrej woli a bez środków. To męczennik i nic innego tylko męczennik. Przez tę wielką mękę moją i moich spełnij żądanie moje, a przez litość nademną w tych godzinach ostatnich—nie odrzucaj. Życie jest długie, ty powinnaś iść za mąż, może ci Bóg pozwoli mieć dzieci... przyjmij dla nich przez miłość dla umierającego.

Józią wstrząsały łkania spazmatyczne.

Chory zamilkł i zapadł w jakąś drzemkę gorączkową a niespokojną. Matka obudziła się niebawem, posłano po radcę, który przybył nie tracąc czasu i wprowadzony został do pokoju chorego. Wyszedł ztamtąd po jakimś kwadransie czasu bardzo wzruszony tem co usłyszał, i bardzo zaalarmowany stanem Edwarda, którego znalazł dzisiaj o wiele gorzej niż dnia poprzedniego. Józia zajęła się teraz uspokojeniem tego nieszczęśliwego, którego, podnieceniem wywołane, kilkakrotne omdlenia wyczerpnęły niemal całkowicie. Małżonkowie zostali sami.

— Idę — odezwał się radca po chwili.

— Gdzie?

— Po rejenta. Edward chce napisać testament.

Ruszenie ramion było odpowiedzią jedyną ze strony słuchającej.

— Zapisuje Józi wszystkie swoje prawa do spadku.

— Tego tylko brakowało! — zawołała w uniesieniu matka, doprowadzona do ostateczności.

— Ty zawsze swoje.

— Jakto? więc ty uwziąłeś się zgubić dziecko własne. Chcesz ją nierozerwalnym łańcuchem przykuć do tego trupa, zamknąć przed nią świat, no zgubić jednem słowem. Jakim ty ojcem jesteś i jakim człowiekiem, zapytam ci się ja dzisiaj nareszcie?

A widząc że radca niezdecydowany wahać się poczyna, uderzyła w najsłabszą jego stronę.

— Więc ty nie chcesz przewidywać, że gdy nam ludzie zarzucać będą czyhanie na ten akt przeklęty i wyłudzenie go w ostatniej godzinie na umierającym, że my wtedy nie potrafimy znaleźć jednego słowa na naszą obronę, a to jeszcze nie będzie wszystko, to nawet będzie część zaledwie potwarzy, która na nas spadnie. Oh! nie rób sobie co do tego illuzyi żadnych. To ty myślisz, że ktoś uwierzyć zechce w taki zapis jakiejś blizkiej znajomej, przyjaciółce czy narzeczonej, że nikczemność ludzka nie omieszka błotem obrzucić jej biedaczki za ten dar bezsensowny a fikcyjny. Ależ to lepszego i pewniejszego sposobu na zgubienie młodej kobiety w opinii, sam szatan wynalaleźćby nie potrafił. Akt urzędowy — rejent — świadkowie! A to będzie godne uwieńczenie całego dzieła!

— Więc co mam robić? Mów co mam robić?—wołał do rozpaczy doprowadzony radca. — On błaga, Józia się zgadza..

— Zaczekaj, przychodzi mi myśl. Skoro jak powiadasz ominąć tego nie można, zmniejszymy przynajmniej rozgłos o ile się da. Wszak są i testamenty prywatne?

— No są! Dlaczegóżby nie?

— A więc, niech on napisze własnoręcznie tę swoją chimerę całą.

— Słuchaj, ja dałem słowo, że zrobię sumiennie.

— Ten zawsze jedno! A to oszaleć można z nimi wszystkimi! A więc idź sumienny człowieku do adwokata i niech ci podyktuje treść, a zwięzłą ile można, bo on dużo nie napisze już biedny obłąkany.

— A świadkowie?

— Świadków znajdziemy tutaj pierwszych lepszych. Im mniej znaczący ludzie to będą, tem lepiej dla nas. Jedź mój drogi jak najprędzej, wracaj i niechaj się raz zakończy ta niedorzeczność cała, która tylu ludzi wtrąciła w przepaść, a teraz chwyta w swoje szpony i dziecko nasze. Przekleństwo! Fatalność!

Życzeniom tej kobiety dobrej i rozumnie przewidującej rzeczywiście stało się zadość. Z wysiłkiem wielkim, ale jasno, zrozumiale i czytelnie według wskazówek adwokata sporządził Edward ten dokument, poświadczyli ludzie należący do zakładu leczniczego, którzy nie wiedzieli dobrze o co szło, a zanim nazajutrz słońce oświeciło pokój Edwarda O., już on spoczywał ostygły i wolny od burz tego życia—jego goryczy i zawodów. Zasnął spokojnie ten człowiek, o którym do końca dni jego nie dowiedziano się, czy był istotnie ostatnim po kądzieli potomkiem wygasłego oddawna w linii męzkiej książęcego rodu, czy tylko maniakiem nieszczęśliwym, popchniętym do zguby przez pieniactwo ojca i jego sprzymierzeńca adwokata.

* * *

Losów Józi bezpośrednio po tej katastrofie opisywać nie będziemy. Stało się z nią to mniej więcej, przez co w analogicznych wypadkach przechodzą wszystkie kobiety młode jej charakteru, sposobu myślenia i religijnego poczucia. Cierpiała zrazu bardzo ciężko, potem ból dojmujący a ostry łagodniał, przechodząc w spokojniejszą rezygnacyą i cichy smutek, ale ten smutek pozostał już jako towarzysz nieodłączny i odbił się zarówno w rysach, jak w całym sposobie zapatrywania na życie i jego brzemiona. Przez te ostatnie mianowicie — przez obowiązek widziała ona dzisiaj wszystko — z niego zrobiła sobie zadanie na resztę swojego złamanego życia. Miała teraz przed oczyma dwoje staruszków, którym to życie pomyliło wszystkie rachuby, rozwiało nadzieję lepszej jakiejś przyszłości dla ich dziecka, i nie było ofiary, którejby nie była chętnie poniosła, żeby im to w jakikolwiek sposób nagrodzić. To też kiedy znalazł się po latach kilku człowiek, w którym ta spokojna, pełna powagi przedwczesnej i pociągającej melancholii postać kobieca obudziła gorące przywiązanie, Józia świadoma pragnień rodzicielskich, podpatrująca ojcowskie westchnienia w samotności i ukradkowe łzy matki, po długiej i bardzo ciężkiej walce ze sobą, zdecydowała się wyjść zamąż.

Uszczęśliwiona nad wszelkie oczekiwanie matka nie wiedziała sama jak pielęgnować ten stosunek, jaką otaczać go opieką i protekcyą, aby się nie rozwiał, bo w jeszcze jedną tego rodzaju próbę ze strony córki nie wierzyła stanowczo.

Nie można się też dziwić nawet tej kobiecie, że w wigilię ślubu układając papiery Józi, niby na dotknięcie węża wstrząsnęła się cała, natrafiwszy na testament Edwarda. Spokojny ogień dogasał na kominku, a ona podając córce ten papier z uczuciem odrazy, powiedziała głosem zmienionym.

— Rzuć to w ogień dziecko moje, nie zabieraj tego ze sobą.

— Dlaczego, mamo? On wie o mojem przywiązaniu do Edwarda.

— Ale o tym testamencie nie wie?

— Nie mówiłam, ale mogę powiedzieć.

— Niech cię Bóg broni, dziecko jedyne. Mniejsze rzeczy jak ta zatruły niejedno pożycie. Spal, proszę cię.—A widząc żal córki dodała nalegająco: — Spal kochanie moje, dla mego spokoju. Ja nocy jednej nie będę miała spokojnej, wiedząc, że zabrałaś to nieszczęście ze sobą.

I spłonął ten smutny dokument, żegnany ukradkiem otartą łzą Józi, i spopieleniem swojem zatarł ostatni ślad pamięci tego nieszczęśliwego człowieka na ziemi.

* * *

I znowu minęło lat parę. Przez ten czas i mecenas i radca poszli sobie odpoczywać w jakieś ustronie na Powązkach, tylko matka jedna mieszkała ciągle przy bezdzietnem małżeństwie, którego pożycie hojnie jej nagradzało wszystkie zawody i cierpienia.

Pewnego dnia wszedłszy do pokoju córki zastała ją siedzącą na kanapie bledszą i smutniejszą niż zwykle. W spuszczonej ręce trzymała Józia gazetę. Matka wzięła ów dziennik i odrazu wzrok jej padł na te kilka wierszy.

„Nareszcie po 94 latach zapadła ostateczna decyzya w sporze o majętności pozostałe po wygasłej rodzinie książąt M...ich. Przysądzono wszystko stronie poszukującej swoich praw."

— Patrzaj mamo — powiedziała Józia. — Takeśmy mu odmówili wszystkiego za życia, a na końcu nie poszanowali nawet jego woli...

— Prawda — wyszeptała pomięszana matka.— Od początku do końca mylili się tu wszyscy. Fatalność prawdziwa!

α.

SPORT I KOBIETA.

(Dokończenie.)

Od jakiegoś już czasu jawnem było, że się sportowi grunt pod nogami usuwać zaczyna. Z jednej strony ludzie poważnego sposobu myślenia znużeni wzrastającą wrzawą głuszącą wszelką podnioślejszą ideę, zaalarmowani hazardem gorszącym rozbudzonym w ciemnych masach, zaczęli nawoływać a protestować — z drugiej nauka lekarska protestowała ze swojego stanowiska niemniej stanowczo i decydująco. Z pierwszymi załatwić się nie było trudno, dzięki powszechnie przyjętej dzisiaj metodzie traktowania ludzi uważanych za schodzących z pola, i zasad uznanych jako przebrzmiałe — z nauką lekarską natomiast kłopot był istotny. Wszakci to niby gwoli wzmocnienia zanikającej muskulatury i podhartowania rozstrojonych nerwów wynaleziono to dobrodziejstwo, a tu nauka ni ztąd ni zowąd rozejrzawszy się w otrzymanych rezultatach występuje ze swojem: „veto," i powiada jasno a zrozumiale:

„Za pozwoleniem! Racyonalne ćwiczenia ciała co innego, a sport jak się przekonywamy co innego. Nie tylko nie mają one wspólności żadnej, ale nadto ostatni zaprzecza pierwszym bezwarunkowo. Nie ma sportu bez wysiłków, bez natężenia mięśniowego, bez rywalizacyi, wyścigów, zakładów rekordów i hazardu, a to wszystko albo sprowadza wyczerpanie albo rozstrój, a najczęściej jedno i drugie. Jeżeli ludziom pracującym umysłowo, a zatem prowadzącym życie siedzące, zalecamy ćwiczenia ciała, to z pewnością nie dlatego żeby im doradzać wysiłek mięśniowy, albo zabawy wstrząsające nerwowym ustrojem. Wysiłek umysłowy, a po nim wysiłek muskulatury, to w sumie biorąc dwa wysiłki. A jeśli szwankującym na zakłócenie równowagi w systemacie nerwowym, przepisujemy przechadzkę, przejażdżkę, oderwanie się od wszystkiego co dokucza, rozstraja czy ekscytuje, to z pewnością nie chcemy ich popychać ku zbiorowiskom ludzkim, w których przebiera się miarę we wszystkiem, w których prześciganie się w niedorzecznościach ekscentrycznych, zakłady i hazardy stanowią chleb powszedni."

Takie i tym podobne ostrzeżenia coraz częściej powtarzano ustnie przy poradach lekarskich, a nadto upowszechniano je drukiem w pismach poważnych, podczas gdy brukowe i nie brukowe tem zawzięciej głuszyły wszelkie napomnienia rozsądku i nauki. No i okazało się, że nie tak łatwo jest podkopać modę zakorzenioną, taką zwłaszcza, na której oparła się już wielka ilość zyskownych przedsiębiorstw, boć jak dobrze wiadomo, te ostatnie mają zawsze jakieś swoje skuteczne sposoby trafienia do przekonania wielu organów prassy—sposoby o których wolimy w tem miejscu zamilczeć.

Zresztą nie ustały przyczyny, które wywołały życie sportowe — nie przestał dąć wiatr, który ten młynek obracał, a więc skoro nie tędy to tamtędy — nie z tych motywów — to z innych! Nie udało się wykierować sportu na regeneratora wątlejącej ludzkości, czyby z niego nie można czasem zrobić dźwigni postępu — czynnika uspołeczniającego — idei — czegoś w tym rodzaju nareszcie.

Czyby nie można? Dlaczego nie? Wszystko można w naszych czasach, a jako próbka takich zamachów na zdrowy rozsądek publiczny, niechaj nam posłuży urywek z dzienników wiedeńskich ogłaszających światu o fundacyi milionowej jakiegoś Wiedeńczyka, który zbudował gmach potężny, dający schronienie temu wszystkiemu co ma związek ze szlachetnym kunsztem kołowym. Gmach ten zwać się będzie „Pancyklikon."

Podnosząc zasługi tego męża, rozbierają pisma ideę samą jego czynu prawdziwie obywatelskiego, oczyszczają go zawczasu ze wszelkich posądzeń o chęć ciągnięcia zysków — owszem przyznają że to wynikło jedynie: *z głębokiego przejęcia się duchem tego sportu, który coraz potężniej i coraz szybciej podbija świat* (autentyczne i dosłowne). A dalej czytamy:

Czy wyraz *duch* użytym jest tutaj właściwie?

„Niewątpliwie! odpowiada sobie pismo z nad modrego Dunaju. Wszakże to sport—zajęcie (!) pozornie czysto zewnętrzne wywiera decydujący wpływ na wewnętrzną istotę człowieka. Wszakże jest on *potężnym środkiem pomocniczym życia towarzyskiego i siłą społeczną pierwszorzędną.* O ileżby byłby słabszym popęd do stowarzyszania się gdyby nie sport? Wytwarza on u ludzi wspólne przyzwyczajenia, a pośrednio urabia wspólność *myśli, przekonań i uczuć,* bije z niego to *samopoczucie stanu (!!!) cyklistowskiego...*"

Wszak będzie tej cytaty dosyć? Zresztą jak już przychodzi aż do wytworzenia się jakiegoś stanu cyklistowskiego, to już nie ma o czem mówić dalej—to już ustaje wszystko. A przytem my nie mamy dobrej przyczyny do rozbolewania się nad biednym w ten sposób ogłupianym Wiedeńczykiem, skoro i nam się z tej nowej mądrości nie byle jakie dostały okruchy. My bo nawet dalej cokolwiek idziemy w adoracyi, i ważniejszą jeszcze missyą obarczamy ten szlachetny kunszt, bez którego nie wiadomo jakim sposobem w ciągu tylu wieków społeczność obchodzić się mogła. U nas nie tyle już idzie o szczęśliwość i zdrowie moralne dojrzałych jak o pedagogiczne... (tak jest, pedagogiczne z największą pewnością), znaczenie sportu. Kto nie wierzy niech posłucha tego, co się pisze u nas, w ostatnich nb. czasach.

„Mężczyzni nasi zdobyli już i zdobywają coraz szersze prawa... do sportu. Nie tak jest z kobietami. Przyzwoita panienka i łyżwy, urocze dziewczę i rower są to zestawienia zaledwie tolerowane w myślach i w życiu, ale nie zalecane bynajmniej.

Tutaj następuje długi wywód wykazujący różnice jakie zachodzą między prawami przysługującymi młodym chłopcom, a brakiem tych samych praw dla dziewcząt, ztąd wniosek, że młoda dziewczyna w ten sposób upośledzona, zatamowana jest w swoim fizycznym i moralnym rozwoju. Chłopiec ma wojskowość i niby wojskowość, ma ćwiczenia atletyczne, a straż ochotnicza, rower i wiosłowanie stają się jego drugą sprawą życiową—dziewczyna nie ma tych wszystkich upustów, któreby obniżyły jej napięcie nerwowe, ztąd znaczne zasoby jej działalności organicznej pozbawione klapy bezpieczeństwa wytwarzać muszą koniecznie histeryę i t. d., i t. d.

Pominąwszy już miłe pomięszanie takich pojęć jak wojskowość, która stanowi powołanie dla mężczyzny — straż ochotnicza, przez którą należy rozumieć spełnienie obywatelskiego obowiązku i wiosłowanie a rower, które przecież nie są niczem innem jak rozrywką, nie widzimy tu jeszcze powodu do ubolewania nad młodą dziewczyną, która nie spełnia wprawdzie powinności wojskowej, do straży ochotniczej przypuszczoną nie bywa, ale która przez rodziców przewidujących a posłusznych zaleceniom lekarskim, używa sobie towarzyskich rozrywek, oprócz tego zimą gimnastyki, latem gry w piłkę i wiosłowania jeśli lubi, i tego marzonego nakoniec roweru, gdy jej na to własny smak dobry pozwala. Że tak jest a nie inaczej, dowodzą nam praktykowane po wszystkich pensyach żeńskich lekcye gimnastyki, sale gimnastyczne prywatne napełnione młodemi dziewczętami, a w lecie wycieczki na wieś, do wód, w góry, za granicę, wedle tego gdzie komu możność pozwala a potrzeba wskazuje. W summie wziąwszy widzimy u nas wzrastające poszanowanie w masach dla wskazań lekarskich, wielki na tej drodze postęp i nie uznajemy potrzeby wstawiania się u rodziców za ich córkami, bo one z pewnością bliżej i goręcej obchodzą rodzicielskie serca, niż całego świata prassę peryodyczną, która z temi suplikami za „uciśnioną" „i wstrzymaną w jej rozwoju" występuje.

Ale cóż kiedy to wszystko w ten sposób prowadzone wcale jeszcze nie jest dostateczne, jak się przekonamy z dalszego ciągu tej samej rewelacyi, z której czerpiemy materyał. To nietylko, że nie dostateczne, ale to aż strach bierze pomyśleć, jakie to nieszczęścia grożą rodzinom ograniczającym się w wychowaniu kobiet do tych środków, któreśmy wymienili powyżej. To już dzisiaj czego innego zupełnie potrzeba kobiecie, a czego właściwie posłuchajmy:

„Jakiekolwiek są zmiany w naszych stosunkach rodzinnych, zmian tych zażądała sama społeczność — jakiekolwiek *nowe cnoty* wytwarzają się u domowego ogniska, *cnót* tych wymaga postępujący wciąż rozwój społeczny, „a to pod groźbą rozpędzania na cztery wiatry wszystkich członków rodziny nie umiejących się do tych wymagań przystosować, albowiem nie zakrzepnięcie w formach nabytych, ale zdolność przybierania postaci nowych jest dla rodziny warunkiem bytu i utrzymania się na stanowisku podwaliny życia społecznego."”

A ty matko niebaczna jedna i druga wychowując dziecko twoje jak to dawniej mówili ludzie ciemni: „na chwałę Bogu i pożytek ludzki," starając się o światło dla jej umysłu, a pielęgnując zdrowie ducha i ciała jednocześnie, myślałaś że robisz wszystko, i gotowa byłaś nawet mieć sumienie czyste. Usłyszałaś oto że ta twoja rodzina będzie pomimo wszystkiego rozpędzoną na cztery wiatry za niezdolność przybierania nowej postaci, że tego wymaga po niej społeczność i t. d., i t. d.

Ani wiesz jaka społeczność, ani wiesz jakie formy, ale posłuchaj dalej a może się i nauczysz czegoś, bo widzisz przynajmniej, że to z nie lada erudycyą masz tutaj do czynienia:

„W dziejowym pochodzie ludzkość przebywała fazy (wcześniejsze), kiedy całokształt społeczeństwa zależnym był od ukształtowania rodziny i takie (późniejsze) kiedy unormowanie małżeńskiego stosunku zależnem było od innych czynników życia społecznego. Społeczność krępując w ten sposób coraz bardziej społeczne funkcye rodziny, dochodzi do coraz większego uwłasnowolnienia jej czynności biologicznej. Z jednej strony nietylko normuje ono w sposób dla siebie pożądany, ale wprost bierze na siebie wszystkie czynności przewodników i przewodniczek rodzin..."

No jakże zrozumiałaś matko teraz cokolwiek lepiej? Przecież chyba zrozumiałaś. Oto aby rodzina twoja nie była rozpędzoną na cztery wiatry, musisz twoje wpływy, jakie sobie przywłaszczyłaś na córkę twoją ustąpić społeczności.

Namyślasz się, wahasz, gotowaś się krzyżem świętym przeżegnać; nic z tego wszystkiego nie rób tylko słuchaj dalej.

„Czynności tedy, które przejmuje na siebie społeczność są: kapłańska (kościół), wychowanie i wykształcenie (szkoły i ochrony), pielęgnowanie chorych (szpital), sprawy majątkowe i zawodowe (syndykaty i Trades-Uniony), zabawę (kluby), wymiar sprawiedliwości w *stosunkach starszego do młodszego* (sądy i kolonie karne)...

Ani wiesz jeszcze dlaczego cię to spotyka, co zaniedbałaś, w czem zawiniłaś, ale cierpliwości! maluczko a i tego się dowiesz:

„Wbrew utartemu poglądowi na rodzinę jako na gniazdo wszelkich cnót społecznych...

No teraz już jesteś w domu biedna matko rodziny mającej być rozpędzoną na cztery wiatry. O tę rodzinę, widzisz, chodzi, z której trzeba raz wyjść i przybrać nową postać. „Hier liegt der Hund begraben," jak mówią Niemcy, a kto się do tych wymagań nie przystosuje, temu owe cztery wiatry (a nie daj Boże więcej) grożą z największą pewnością.

Aż nam lżej wszystkim i mnie piszącemu i wam słuchającym z zapartym w piersi oddechem, żeśmy się dowiedzieli nareszcie. Ale to jeszcze nie wszystko. Nie dosyć znać cel, trzeba i drogę do niego poznać, a oto mamy cośkolwiek o tych drogach i środkach. Pamiętajmy, że to zawsze owa społeczność przemawia do nas tym głosem:

„W ten sposób społeczeństwo zapewnia coraz większą swobodę działania doborowi miłosnemu, który w okresach innych wysługiwał się wszystkim potrzebom i wymaganiom życia społecznego, tylko nie potrzebie wytwarzania zdrowych i silnych pokoleń nowych."

Patrzajcież! a ludzie ciemni byli dotąd przekonani, że w tamtych okresach pokolenia młode były silniejsze. Co to może niewiadomość! Ale mniejsza z tem! Chodźmy dalej:

„Jeżeli ta potrzeba młodego zdrowia i siły młodej, dzisiaj jeszcze gorzej jest zaspokajaną niż dawniej, to dlatego że rodzina dzisiejsza nie przystosowała się jeszcze do nowych wymagań społecznych. Jednym ze sposobów takiego przystosowania się są właśnie „sporty."

Nareszcie! doszliśmy i do nich, a wiemy teraz, że to wszystko z rozporządzenia społeczności.

„Stanowią one środek złagodzenia złych i wyzyskiwania dobrych skutków tej zmiany, albowiem młoda panna dzisiaj dłużej niż ongi musi pozostawać panną, t. j. gotować się, do trudniejszego dziś niż dawniej, powołania matki i obywatelki swojego narodu (zawsze przy pomocy tego sportu), a jednocześnie musi podlegać warunkom o wiele bardziej złożonym i zakłócającym jej równowagę — pokusom o wiele liczniejszym niż dawniej i dłużej trwającym. To też tym, którzy nie lubią wywodów oderwanych, najłatwiej trafimy do serca, mówiąc, że tu idzie o zdrowie i moralność ich córek (jasne jak dzień) ale...

„Właśnie ten wzgląd moralności niepokoi wielu. Czy aby lekarstwo nie będzie gorsze od choroby? Ślizgawka jużci to upust, ale na ślizgawce jest młodzież męzka. Cóż robić! Dzisiaj obcowanie młodzieży obojga płci musi być dłuższe i częstsze niż dawniej, ale rodzina musi się do tego przystosować (rozumie się znowu pod grozą tych 4 wiatrów nielitościwych).

„Jednym z najlepszych sposobów takiego przystosowania jest odjęcie temu stosunkowi wszelkiego charakteru dorywczości, ukradkowości i nagłości. Młodzież męzka i żeńska nie powinna się składać z luźnych kupek samców i samiczek spędzanych od czasu do czasu pod czujnem okiem pasterza. (Ten pasterz to była matka, a więc niechaj ich bogi opiekujące się przyszłą społecznością strzegą od tego!)

„Musi młodzież od najmłodszego wieku uczyć się (rozumie się sama), wytwarzać z siebie małą społeczność, mającą własne swoje *ściśle obowiązujące prawidła wzajemnej uczciwości i honoru.*"

A do tego celu potrzeba nakoniec aby:

„Młodzież płci obojga odbywała bez oka starszych dalekie wycieczki (koniecznie dalekie) wytwarzając tym sposobem zasady nie chwilowo-eleganckiego, ale stałego uczciwego obcowania."

No, teraz to i my już wiemy chyba wszystko, czyli jak powiada autor tego nowego katechizmu pedagogicznego — mamy *całokształt* tej doktryny, a iżbyśmy go sobie lepiej utrwalili w pamięci, streśćmy wszystko cośmy najskrupulatniej i zgodnie z tekstem w dosłownem brzmieniu przytoczyli. A zatem:

Rodzina taka, jaką była dotąd ostać się nie może; musi się przerodzić w jakąś inną formę. W jaką? nie wiemy, a nie idzie też tu właściwie mówiąc w jaką, byle nie pozostała w tej samej. To pierwsze i najważniejsze.

Szkoda jednak, że autor nie powiada, jaką to będzie ta przyszła forma. Kto powiedział tyle, mógłby dopowiedzieć i tę resztę.

Córka nie może się wprawdzie znaleźć na świecie bez matki, ale ta matka jak najrychlej musi się zrzekać swojego wpływu na nią, pozostawiając ją ile można instynktom własnym, pod zwierzchnim nadzorem społeczności, od której lepszego, troskliwszego i rozumniejszego przewodnika być nie może, o czem nas codzienne doświadczenie poucza.

Ponieważ dotychczasowy kierunek religijno moralny, reprezentowany przez rodzinę i macierzyńską opiekę należy do skazanych na zatracenie, przeto kobietę przyszłości powierzoną rękom opiekuńczej społeczności kształcić będą inne zupełnie wpływy i szkoły, a jednym z najpotężniejszych czynników wychowawczych będzie w tej pedagogice przyszłości—sport. Jakimi oprócz tego środkami walczyć będzie ta pedagogika — nie powiedziano nam dotąd, uchylono zaledwie rąbek tej zasłony i dzięki temu uchyleniu dowiadujemy się tylko że do regulaminu należeć mają *dalsze we dwoje wycieczki* na których nieletni podróżujący zajmować się będą zapewne kodyfikowaniem przepisów nie chwilowego eleganckiego, ale stałego uczciwego obcowania, obowiązującego męzką i żeńską połowę rodzaju ludzkiego. Że zaś każda taka para prawodawców składać się będzie z osobnika żeńskiego wychodowanego przez społeczeństwo, zdala od wrogich wpływów *przechwalonego instynktu macierzyńskiego*, a osobnik męzki, jak to z całości doktryny nam wiadomo, wyjdzie z rodziny *w której patryarchat ojcowski zastąpiony został przez uczciwe przyjacielskie starszego z młodszym obcowanie*, przeto wolno nam się cieszyć nadzieją, że w tych *wycieczkach dalszych* o niczem oprócz o dobru społecznem radzić młodzi nie będą.

Darujcie nam szanowne matki rodzin naszych te kilka wierszy ostatnich. Niejednemu, który szydzi, dotkliwym bólem krwawi się serce, ale chwilami wydaje się istotnie, że na śmiertelną obłudę i samobójcze obłędy nie pozostaje nic oprócz jednej jedynej cynicznej prawdy, bez względu na to czy ona się w surowych wyrazach admonicyi, czy pod formą szyderstwa ukrywa.

T. M.

Zaniedbani i opóźnieni.

W domu i w szkole widzimy dzieci zaniedbane. Wrodzony brak uzdolnienia, nieumiejętne wzięcie się ze strony rozpoczynających z dzieckiem naukę, surowość nadmierna, szyderstwo rówieśników i wiele — bardzo wiele innych przyczyn złożyć się może na opóźnienie rozwoju umysłowego, a następnie na jakiś trwały, jak się często wydaje, zanik inteligencyi. Jeżeli dziecko, które w domu uchodziło za nieudolne — słabo rozwinięte—tępe, dostaje się do szkoły, w prze-

ważnej liczbie wypadków bywa ono nieodwołalnie straconem. Niemożność przyjścia ze skuteczną pomocą takiemu zapóźnionemu, jego upośledzone stanowisko wobec kolegów, doszczętna utrata odwagi i ufności w siebie, skazują taką każdą młodą istotę na niewypowiedziane udręczenia i zacieśniają to błędne koło warunków, z którego możność wyjścia na świat w charakterze jednostki czynnej zamknięta zupełnie.

Przed trzydziestu laty we Francyi pan Otto Boetge, a następnie kontynuator jego myśli pan Langlois, obaj świadkowie tych niedoli dziecięcych, wzięli je goręcej do serca, niż reszta współczesnych pedagogów i założyli w Eaubonne niedaleko od Enghien (dep. Seine et Oise) rodzaj sanatoryum intellektualno-moralnego, oprócz bowiem dzieci kwalifikowanych jako upośledzone umysłowo, są tam i inne jeszcze, a mianowicie te, z których wychowanie domowe i szkolne nie mogło nic zrobić — które były w domu nieszczęściem rodziców, a w szkole klęską nauczających.

Usiłowania te uwieńczone zostały jak najpomyślniejszym skutkiem. Miejscowość malownicza, park obszerny otaczający zakład, blizkość od stolicy, dzięki której zamieszkali tam rodzice mogą w każdej chwili zaspokoić swoją troskliwość, a z drugiej strony odosobnienie tego miejsca takie, że zgiełk wielkiego miasta nie dolatuje tu wcale — jako podstawowe warunki wymagane tu cisza i spokój—wszystko to razem składa się na rezultaty o których opinia publiczna wyraża się dzisiaj jako o cudownych prawdziwie. Sporo przez ten czas wyszło ztamtąd młodzieży ze świadectwem bachalaureatu — młodzieży, której w dzieciństwie nie można było nauczyć przy wszelkich wysiłkach czytania nawet. Inni, stanowiący ten znowu kontyngens cały, który nazywają pospolicie „szalonemi pałkami,” którzy uciekali ze wszystkich szkół, i których żadne środki represyjne utemperować nie mogły, przemieniali się pod dobroczynnymi wpływami tutejszymi w młodych ludzi rozważnych, tak że w dalszej karyerze nikt się ich burzliwej dziecinnej przeszłości domyśleć nawet nie mógł.

Tych cudów dokazuje tutaj niezmordowana słodycz w postępowaniu, łagodność, wyrozumiałość i usiłowania zmierzające do podniesienia dziecka w jego własnych oczach.

To też, jak powiadają, w ciągu kilku dni każdy taki mały dzikus jest tutaj oswojony—w ciągu kilku tygodni nawyka zupełnie do regulaminu miejscowego, a większa część nawet na czas wakacyjny niechętnie zakład opuszcza.

To sanatoryum w Eaubonne mieści tylko 70 wychowańców. Jest 6 kategoryi w których młodzież należąca do jednej nigdy się nie łączy z innemi. Klasyfikuje się bowiem młodzież wedle niedostatków i wad, które ona ze sobą przynosi, burzliwości temperamentu, stopnia nieudolności i t. p. W klasie każdej jest 6 do 7 uczniów tylko.

I u nas, o ile sądzić wolno, zakład podobny, dla zaniedbanych moralnie albo intellektualnie synów rodzin zamożnych, byłby wielce pożyteczny. Znalazłby się nawet powinny łatwo fundusze na założenie czegoś w tym rodzaju, a gdyby tak na przykład wnieść jakieś dziesięć procent od summ napływających rokrocznie do kassy wyścigów konnych z obrotu totalizatora, już z tego samego zebrałaby się znaczna bardzo kwota. A godziłoby się chyba, żeby członkowie towarzystwa pomyśleli o tem, bo to po takich wysiłkach umysłowych ojców, łatwo bardzo trafić się może jeden i drugi jakiś potomek z ospałą nieco intelligencyą.

K.

Wskazówki i rady.

WĘDZENIE RYB.

(Dokończenie.)

Gdy węgorz przestanie żyć, co następuje natychmiast przy użyciu sposobu wyżej wskazanego, wyciera go się zimnym popiołem lub wreszcie piaskiem dla obtarcia ze szluzu, odcina głowę, rozpara brzuch, wyrzuca wnętrzności i soli mocno, posypując wewnątrz nieco pieprzem i kilkoma listkami bobkowemi, po 2 do 3 dniach solenia wyciera grubem płótnem z wilgoci, rozpina tak jak śledzie łososiowe na drewienkach, obwija w papier, tak aby dym pod papier mógł dochodzić, przywiązuje do cienkiego patyka przez całą długość węgorza, zawiesza w braku wędzarni wysoko na drągu w kominie i wędzi nad drobnem łuczywem lub co lepiej nad jałowcem, przewracając na obie strony, aby dym wszędzie dochodził, co zupełnie wystarcza.

Wszelkie ryby z małą różnicą tym sposobem wędzić można.

Łososie. Rozpłatać łososia wiślanego białego lub czerwonego z innych rzek wzdłuż, wyjąć kość grzbietową, posolić w wanience drewnianej, biorąc na 20 funtów ryby 1 funt soli i 1 łut saletry tłuczonej. Natrzeć rybę głównie na skórze i wewnątrz ręką tak długo, aż sól wsiąknie dobrze, włożyć w wanienkę, przykryć denkiem i kamieniem i zostawić tak na dni 4 do 6.

Dobrze jest przewrócić rybę parę razy w ciągu tych kilku dni, następnie obwinąć każdą połowę oddzielnie w biały czysty papier i powiesić w wędzarni w lekkim dymie, mniejsze na 3 dni większe na dłużej.

Można urządzić łososia z suma.

Świeżego suma oczyścić jak zwykle, wytrzeć serwetką do sucha i nasolić, biorąc funt soli 1 łut saletry na 20 funtów ryby jak wyżej, po 3 lub 4 dniach wyjąć rybę z soli odciąć łeb używając go do barszczu dla służby, wyrznąć kość grzbietową, rybę pokrajać wzdłuż na 4 pasy, wywiesić na powietrze w cieniu, aby dobrze wyschła. Parę miesięcy można go używać wymoczywszy z soli, na potrawę jak świeżej.

Chcąc mieć z niego łososinę, należy po wyjęciu z soli, pokrajanego na pasy wytrzeć do sucha i obwinąwszy w papier tak, aby dym pod spód podchodził, powiesić je zawsze ogonem do góry w chłodnym dymie na 4 do 5 dni. Taki wędzony sum ma wielkie podobieństwo do łososia i bardzo długo się przechowuje.

Sielawy wędzone. Sielawy są tak delikatną rybą, a tak poszukiwaną gdy są wędzone, że naturalnie kto ma sposobność je łowić w jeziorach, stara się umiejętnie wędzić. Sielawy równie jak sandacze, zaraz po wyjęciu z wody usypiają, należy więc natychmiast lekko solić na godzin 12, a po wyjęciu z soli miękkiem płótnem obetrzeć z wilgoci, aby suche zupełnie podać do wędzenia. Wiązać za ogonki po cztery razem rogóżką, obwinąć pęczkami papierów, wieszać na drążkach i zaraz stawiać w lekki dym na 8 do 10 godzin. Dym powinien być nie gorący, boby się opiekły i uschły.

Wyjęte z dymu postawić na wietrze, aby prędko ostygły, delikatnie przecinać rogóżkę nożykiem, dla rozdzielenia i układać w łubowe pudełka, przekładając słomą jeżeli mają być wysyłane.

Można je nawet wędzić bez papieru, ale muszą wysoko nad dymem wysieć.

Śledzie wędzone. Śledzie są tak pospolitą rybą, że bez wielkiego ambarasu wędzą się. Moczyć je należy godzin 24, wytrzeć, a następnie wiązane za ogony sznurkami po dziesięć nawet razem, obwinięte papierem powiesić w wędzarni na kilka godzin, nie mniej jednak jak sześć.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od redakcyi.

Pani Zofii. Kolor sukni zależy od wieku osoby — młodziutka wdowa może wziąć suknię crême morową lub z ciężkiego adamaszku — zamiast welonu illuzyowego upiąć krótszy koronkowy. Dla starszej wdowy właściwsza jasna materya — w późniejszym wieku może być adamaszek ciemniejszy a na głowie upięcie z koronkowego szalika. Jeżeli ślub jest na mszy to konieczny kapelusz odpowiedni.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою, Варшава 18 Марта 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**